ROZMAITOŚCI.

Dnia 11. Lutego. № 6. Roku 1857.

Księżyc na weselu.

Gadka ludu nadwiślańskiego.

Ze zbioru K. Minarskiego.

(Dokończenie.)

— „O! gotów jestem na wszystko, nie lękam się najsroższych przygód, byle tylko ujrzeć jeszcze raz moją Halkę kochaną“ — zawołał Tomek, i padł na kolana przed czarownicą, błagając tem usilniej, aby mu wyjawiła sposób obaczenia się z narzeczoną.

Długo ociągała się czarownica, aż wreście przejęta litością nad rozpaczą biednego młodziana, rzekła po niejakim namyśle:

— „Jeśli żadne przedstawienia nie mogą cię odwieść od twojego niebezpiecznego zamiaru, tedy słuchaj jak się masz zachować. O kilkaset mil ztąd rozciąga się nad brzegami wielkiego morza ogromna puszcza. W najdzikszym jej ostępie jeży się olbrzymia góra, wydrążona we środku. Tamto udają się po przeczuwanej na niebie nocy owe dwa gwieździste niedźwiedzie, między któremi zawisła twoja narzeczona. W głębi ciemnej pieczary odpoczywają one przez cały dzień, a w nocy wznoszą się ku niebu na grzbiecie potwornego smoka, przydanego im obudwom ku straży. Chceszli koniecznie ujrzeć twoją Halkę, tedy jedynie na grzbiecie tego strasznego potworu możesz dostać się do niej. Spi on w pośrodku obudwóch niedźwiedzi tak twardo we dnie, iż mógłbyś go nawet wynieść z pieczary. Wszakże skoro tylko nadejdzie noc, lub jakiekolwiek światło draśnie jego źrenicę, natychmiast obudza się, i biada temu, ktoby się dostał w jego paszczę wiecznie ogniem ziejącą. Musisz tedy dosiąść go w dzień, i czekać nocy na jego grzbiecie. Głowę przymocujesz mu we śnie, aby obudziwszy się, nie mógł dosięgnąć cię paszczą swoją. Zresztą będziesz musiał dołożyć odwagi i wytrwałości, aby utrzymać się na jego grzbiecie, który jest tak gorący jak rozpalone żelazo. Bądź jak bądź tylko na tym smoku zdołasz wznieść się w obłoki, gdzie tuż koło siebie znajdziesz narzeczoną. Abyś trafił do owej puszczy nad morzem, musisz iść ciągle na zachód słońca; olbrzymia góra, przybytek niedźwiedzi i smoka, sama przedstawi się oczom twoim.“

Z wylaniem podziękował Tomek starej czarownicy za wyjawienie mu jedynego sposobu ujrzenia się z Halką kochaną, i mimo wiszących nad sobą niebezpieczeństw wyszedł pełen otuchy z dzikiego lasu.

Wybrnąwszy z głuchego i ciemnego boru, nie myślał już Tomek o powrocie do wsi rodzinnej. Niezłomny w powziętem raz przedsięwzięciu puścił się śmiało w daleką podróż, którą mu wskazała usłużna czarownica.

Spieszył bez odpoczynku i bez wytchnienia, przez różne kraje i ziemie, przez pola i łąki, góry i rzeki, dzikie bory i puszcze, aż wreście po długiej uciążliwej podróży, po tysiącznych przygodach, stanął pełen otuchy i nadziei w owej okropnej pustyni nad morzem, gdzie według słów starej wróżki miało się znajdować legowisko małego i wielkiego niedźwiedzia.

I rzeczywiście z znacznej już odległości uderzył go widok olbrzymiej góry, jeżącej się w najdzikszym ostępie pustyni. Nieszczęśliwy kochanek nie zawahał się ani na chwilkę, lecz z pokrzepioną odwagą i orzeźwionemi siły pognał ku ponuremu przybytkowi potworów.

Już stanął u stóp góry, już dosięgnął jej szczytu, i znalazł otwor prowadzący do jej wnętrza. Nie zatrzymując się tu ani momentu, pomknął nieustraszony do środka.

Po dość długiej wędrówce w lochu podziemnym natrafił wreście na obszerną pieczarę, w której odpoczywały obadwa niedźwiedzie i smok we śnie głębokim, jak mu to przepowiedziała czarownica.

Pocieszony szczęśliwem odszukaniem zaklętego miejsca, opuścił Tomek pieczarę, aby naprzód ukręcić powróz z łyka pobliskich drzew do skrępowania głowy otrętwiałego potworu.

Ukręcił też w samej rzeczy tak grubą i mocną niebawem linę, że niepodobna było

przypuścić, aby ją zdołał przerwać smok skrępowany, choćby jaknajwiększą posiadał siłę.

Dokonawszy szczęśliwie zamiaru, wszedł Tomek znów do pieczary, wsiadł spokojnie na grzbiet potworu, i nie zatrwożył się bynajmniej, gdy przy nadejściu nocy smok nagle ocknął się ze snu. Naprózno miotał się potwór na wszystkie strony, napróżno wykręcał w górę uzbrojone szponami łapy: śmiały jeździec drwił z jego gniewu, i jakby mu przyrósł do grzbietu.

Tymczasem gwiazdy jedna po drugiej wschodziły już na niebie, i przyszła tez kolej na nasze niedźwiedzie.

Otrząsły się oba ze snu, i przyczepiwszy się do łap stróża swojego, wzniosły się szybko ku niebu, nie zważając bynajmniej na towarzyszącego im Tomka.

Podróż napowietrzna odbywała się lotem błyskawicy. Tomkowi ćmiło się w oczach i kręciło się w głowie, musiał też całą siłą trzymać się smoka, aby nie spaść na ziemię.

Wtem spostrzegł nagle z przestrachem niewymownym, iż ciało skrępowanego potworu, dotychczas tylko cokolwiek ciepłe, teraz coraz większej nabiera gorącości, a paszcz jego coraz gęstszym zieje płomieniem.

Biedny Tomek przypomniał sobie w tej chwili słowa czarownicy. Według jej przepowiedni miał kadłub smoka stać się nakoniec tak gorącym jak rozzarzone żelazo. Zimny dreszcz przeszedł od stóp do głowy nieszczęśliwego podróżnika, i ze zgrozą zaczął sobie wyrzucać, iż złudzony stanem smoka uspionego w pieczarze, przepomniał najważniejszą przestrogę wróżki.

A z każdą chwilą wzmagała się jego trwoga śmiertelna, bo z każdą chwilą trudniej mu już było utrzymać się na rozpalonym grzbiecie potworu. Spostrzegł na pół nieżywy, że już suknie palą się pod nim, że łyko, którem skrępował głowę potworu, grozi lada chwila jasnym buchnąć płomieniem.

Poznał biedny śmiałek, że wybiła mu już ostatnia w życiu godzina, i że nic już nie zdoła ocalić go od zguby nieochybnej. Pozostawały mu tylko do wyboru dwa odmienne rodzaje śmierci.

Musiał albo dać się pochłonąć płomienistej paszczy smoka, albo rzucić się nazad na ziemię i znaleźć śmierć w głębi morza lub w przepaści jakiej góry skalistej.

Chwilkę wahał się nieszczęśliwy podróżnik. Wnet atoli wybrał sposób ostatni, i wypuściwszy z rąk rozzarzony grzbiet smoka, runął na ziemię.

Pozbawiony wszelkiego cienia nadziei, leciał długo, długo przez niezmierne przestworza, a naraz ujrzał pod sobą szereg skał chropowatych, ku którym zmierzał pędem szalonym.

Dech zaparł się w piersiach nieszczęśliwego, w jednym momencie miało już ciało jego roztrzaskać się o pierwszą lepszą skałę w tysiąc kawałków.

Wtem, tuż przed samym upadkiem, gdy mu już ostatnia nadzieja zgasła, jakieś ramie anielskie ocala go od zguby, i stawia nieuszkodzonym na ziemi. To Halka kochana spuściła się w porę z nieba, i spłynąwszy gwiazdą spadającą ku niemu, wybawiła kochanka od strasznej śmierci.

— „Halko tyś moja! tyś ocalona!“ — zawołał Tomek z radością; widząc straconą kochankę znowuż na ziemi i w ludzkiem ciele, promieniejącą jedynie odblaskiem korony gwieździstej, w której niedawno świeciła na niebiosach.

— „O nie mój luby!“ — odpowiedziała smutnie kochanka. — „Nie wolno mi opuścić mojego miejsca na niebie, i tylko przelotnie mogę dotknąć się ziemi.“

— „Więc niczem cię już nie wybawić, kochanko moja jedyna!“ — zawołał Tomek z rozpaczą.

— „Pozostaje jeszcze jeden środek“ — rzekła pocieszając go Halka.

Otucha wstąpiła w serce biednego młodziana, a dziewczyna ciągnęła dalej:

— „Udaj się nad brzeg morza, a gdy ujrzysz słońce, wychylające się rankiem z wód łona, wnieś przed niem żałobę przeciw zdradzieckiemu księżycowi, i proś je kornie o moje wybawienie. Teraz zaś bywaj zdrów!“

I zaledwie wymówiwszy te słowa, wzniosła się nagle w powietrze, i szybko jak strzała pomknęła na dawne stanowisko w niebiesiech.

Długo jeszcze z wyciągniętemi ramionami stał zasmucony Tomek na miejscu. Dopiero gdy słońce ukazało się na niebie, i przygasiło blask gwiazd i księżyca, ocknął się z swojej zadumy, i puścił się niezwłocznie w podróż ku brzegom morza.

I znowu długo i daleko wędrował bez odpoczynku, znowu niejednej w drodze doznał przygody, aż nakoniec stanął u kresu podróży.

Usiadłszy na brzegu morskim, czekał cierpliwie dopóki słońce po rannej kąpieli swojej nie ukazało się kulą złocistą na zielonawem tle morza.

Wtedy porwał się Tomek z miejsca, i ukląkłszy pokornie, opowiedział słońcu w krótkich słowach nieszczęście, jakie go spotkało od mściwego księżyca. Potem jął rzewnym głosem błagać o litość nad sobą nieszczęśliwym i o wybawienie kochanki z promienistego więzienia na niebiesiech.

Słońce wysłuchało go z uwagą, a gdy skończył, rzekło łagodnie:

— „Bądź spokojny! Kochanka twoja odzyska dawną postać, i pobierzecie się z sobą. Aby zaś przyszło do tego, udasz się najprzód na dolinę błogosławionych, a tam powiedzą ci duchy, w jaki sposób będziesz mógł połączyć się z narzeczoną."

I w tej chwili opasała młodzieńca chmura, i uniosłszy go z ziemi, spuściła aż na dolinie błogosławionych.

Zaledwie stanął w tym przybytku szczęścia i rozkoszy, otoczyły go dokoła duchy dobre, i z nadzwyczajną uprzejmością jęły go raczyć najwyborniejszemi przysmakami i pokazywać mu wszystkie cuda swojego świata.

Naraz zbliżył się ku Tomkowi jeden z najstarszych cieniów, i rzekł mu uroczystym acz wielce łagodnym głosem:

— „Z rozkazu słońca zabawisz przez kilka tygodni pomiędzy nami. Abyś w tym czasie nie nawykł do próżniactwa, włożono na ciebie podwójne zatrudnienie. Przed południem będziesz pilnował raków u żelaznej wieży, po południu masz czuwać nad zorzą poranną i wieczorną. Pamiętaj tylko, abyś się nie dotknął żadnej gołemi rękami, i aby nie okryły się pyłem."

Poczem zaprowadził go zaraz na miejsce służby porannej. Zdumiony Tomek ujrzał przed sobą wysoką wieżę żelazną, pod którą gorzał jakiś ogień wieczysty.

Dokoła niej snuły się tam i nazad kupy raków czerwonych. Jedne właziły do środka, drugie wracały ztamtąd, inne rozpierzchały się po różnych stronach, zawsze jednak w pobliżu jej żarzących się ścian.

Przypatrując się temu dziwnemu widowisku, nie mógł przenieść na sobie zdumiony Tomek, aby się nie zapytał poprzednika swojego, co oznacza ta osobliwsza wieża i te stworzenia nieszczęśliwe.

— „Są to dusze grzeszników" — odpowiedział mu duch. — „Pokutują za krzywdy, które wyrządziły za życia. Będziesz ściśle pilnował, aby na noc udawały się wszystkie do środka wieży."

Wyrozumiawszy swoje obowiązki, pełnił je Tomek z wielką gorliwością, i zjednał sobie zadowolenie wszystkich duchów w przybytku błogosławionych.

Pewnego poranku, gdy spieszył na miejsce służby zwyczajnej, ujrzał nagle przed sobą przecudną dziewicę w złocistej szacie i z promienistym wieńcem na głowie.

— „Nadeszła już godzina wyzwolenia twojej narzeczonej" — rzekła mu zdala. — „Księżyc spełnił swój bieg miesięczny, i potrzebuje nowego zapasu światła. Dziś przybędzie z wózkiem swoim do wieży, w której spoczywają nieprzebrane zdroje światłości. Skryj się w jej wnętrzu, a gdy księżyc stanie w jej ścianach, wykradnij mu złocisty sierp, złożony w tyle wózka, i przetnij nim jedną z owych lin promienistych, na których spuścił się z niebios. Dokonawszy tego, skryj się znów wewnątrz wieży, i nie wychodź ztamtąd, aż dopóki słońce nie ukaże się na obłokach. Nie zważaj przytem na żadne przyrzeczenia księżyca, bo opuściwszy przed czasem ukrycie swoje, uległbyś zgubie nieochybnej."

Po tych słowach uleciała nadobna posłanka słońca ku niebu, a Tomek pospieszył co tchu do wskazanej sobie wieży.

Około północy nadjechał księżyc, i zatrzymał się u bramy. W tym momencie nieustraszony Tomek jednym susem wypadł ze środka wieży, i chwyciwszy za sierp złocisty, najdroższy skarb księżyca, przeciął coprędzej linę, po której promienisty wózek spuszczał się z nieba.

Zaskoczony tak księżyc, ochłonąwszy z pierwszego zadziwienia, puścił się w pogoń za zuchwalcem, i dopędził go w progu wieży. Lecz osobliwsze szczęście sprzyjało śmiałemu Tomkowi. Pochwycony już silną dłonią księżyca, rzucił się w bok z taką zręcznością, że jak piskorz wyśliznął się silniejszemu dwójnasób przeciwnikowi, i wraz z zdobyczą swoją zniknął wewnątrz wieży.

Okradziony księżyc nie posiadał się od gniewu, musiał jednak hamować gwałtowniejsze wybuchy złości, wstydząc się duchów światła, które tymczasem świeżemi zapasami promieni napełniały mu wózek.

Dopiero po ich odejściu, gdy czas naglił już do powrotu, począł zagniewany księżyc miotać nań okropne złorzeczenia. Pomny na słowa posłanki słońca, milczał Tomek na wszystko, a wnet też zmienił księżyc postępowanie swoje, i od groźb i obelg przeszedł do prośb i pochlebstw.

Naprożno jednak prosił i błagał, naprożno pochlebiał i tysiącznemi łudził obietnicami.

Tomek nie zważał na nie, i ani pomyślał o oddaniu przedmiotu uniesionego. Znużony tylą bezskutecznemi słowami a naglony upływem nocy, chciał już księżyc bez sierpa powrócić w obłoki, i próbował spoić przeciętą linę wózka. Wszystkie jednak usiłowania były zupełnie daremne. Każdy najstaranniej spojony węzeł rozsuwał się za lada drgnięciem wózka.

Tu już prawdziwa rozpacz ogarnęła biednego księżyca. Nie mógł żadną miarą ruszyć się z miejsca, a słońce, jego zwierzchnik wszechwładny, mogło lada chwila ukazać się na niebie i zaskoczyć go w tak nieszczęsnym stanie, sprowadzonym przez własną nieostrożność.

Płacząc prawie z żałości, uciekł się księżyc na nowo do prożb i pochlebstw. W tej chwili nietylko gotów był oddać Tomkowi uwięzioną kochankę, lecz nadto przyrzekał nieprzebrane skarby w okup za postradany sierp.

Lecz wszystko to było za póżno. Nagle rozlała się cudowna jasność dokoła, a słońce w całej swojej wspaniałości ukazało się na niebie. Śmiertelna bladość okryła twarz księżyca, i pełen wstydu spuścił oczy ku ziemi, lękając się jasnego wejrzenia słońca, które po krótkiej chwili zagadnęło go groźnym głosem:

— „Jak śmiałeś niegodny, naruszyć na ziemi święte prawa gościnności i uwieźć dziewczynę w sam dzień jej ślubu.“

Struchlał rogaty księżyc, dopiero ochłonąwszy po chwili z przestrachu i zawstydzenia, błagał o przebaczenie za swoje przestępstwo, i przyrzekał oddać niezwłocznie uwięzioną.

Wtedy na rozkaz słońca zwrócił mu Tomek jego złocisty sierp, a duchy światła spoiły mu linę przeciętą.

Odetchnąwszy nakoniec, wzniosł się księżyc ku niebu, i już w kilku chwilach powrócił z Halką do uszczęśliwionego Tomka. Oboje kochankowie postradali w pierwszym momencie wszelką władzę mówienia, i tylko uściskami witali się w swojem szczęściu.

Rozrzewniony ich miłością księżyc postanowił w nagrodę za tyle wyrządzonych im cierpień odwieźć oboje aż do ich wsi rodzinnej. Wahali się z początku kochankowie, nie dowierzając ze wszystkiem szczerości dawnego przeciwnika, wszakże na zachętę słońca i tysiączne upewnienia księżyca, wsiedli śmiało do jego wózka, i lotem błyskawicy pomknęli przez powietrze.

Zanim jeszcze zdołali opamiętać się z pierwszego wrażenia podróży napowietrznej, zbliżyli się już ku swoim niwom ojczystym — gdzie jakby długą i szeroką wstęgę srebrzystą ujrzeli zdala Wisłę kochaną. Wtedy skręcił cokolwiek w bok księżyc, spuścił wózek na ziemię, i przystanął pod rozłożystem drzewem o liściach białych i lśniących jak srebro.

Tego liścia naciął księżyc w wielkiej obfitości, i dał go Tomkowi, mówiąc:

— „Garść tego liścia zakopana w ziemię ochroni ją na kilka lat od nieurodzajów, od gradów i wszelkich innych klęsk ziemskich.“

Wdzięcznie przyjął Tomek ten dar wspaniały, a księżyc tymczasem wzniósł się z kochankami znowuż ku niebu, i stanąwszy w kilku chwilach nad Naborowem, spuścił się przed chatą starego Szymona. Wybiegli natychmiast sędziwi rodzice na próg, a widząc dzieci swoje zdrowe i nienszkodzone, oddali się niewymownej radości. W uciesze swojej przebaczyli tem chętniej księżycowi, ile że przepraszał ich usilnie za wszelką wyrządzoną im krzywdę. Zadowolony z si bie i pojednany ze wszystkimi, wzbił się księżyc napowrót w powietrze. Tymczasem ze wszystkich stron zbiegli się krewni i znajomi, i nuż witać serdecznemi słowy nowo przybyłych, nuż wypytywać ich o wszystkie przygody, nuż życzyć szczęścia do przyszłych związków małżeńskich.

Niebawem odbyło się powtórne wesele, a nowożeńcy osiedli na własnem gospodarstwie, i dzięki cudownym liściom z daru księżyca, dostąpili oboje nader szczęsnego losu. Bo gdy przy jednym i drugim nieurodzaju pola ich same jedne wydały plon obfity, zaczęli wszyscy sąsiedzi dopytywać się chciwie o radę. Poczciwy Tomek udzielał środka swego ubogim darmo, bogatym zaś dziedzicom sprzedawał go po tak wysokiej cenie, iż z czasem ogromnej dorobił się fortuny. Opływając w dostatkach, i powszechnie kochany, umarł jako dziedzic kilkunastu wsi urodzajnych.

PLISZKA.

Przy schyłku listopada roku 18.. spieszył jedną z najludniejszych ulic stolicy jakiś młody, przystojny mężczyzna. Nagle skręcił do pewnej kamienicy, a przebiegłszy prawie jednym tchem wszystkie trzy piątra, pociągnął z coraz żywszą niecierpliwością za dzwonek u pierwszych drzwi na czwartem.

Niebawem otworzono. Młodzieniec wpadł do pokoju, a uściskawszy naprzód jakiegoś starca poważnego, rzucił się potem na kolana przed młodą piękną dziewczyną.

— „Tyś moja Ludwiko!“ — zawołał prawie niezrozumiałym z wzruszenia głosem. — „Otrzymałem nominacyę na sekretarza.“

W miesiąc po tej scenie odbył się w najbliższym kościele cichy i skromny obrzęd ślubny. Młoda para przeniosła się do sąsiedniej ulicy na własne gospodarstwo, i przez pierwszych sześć tygodni opływała w szczęście niezamącone.

Lecz któż na ziemi zawarł wieczne przymierze z pomyślnością! Po sześciu tygodniach wybuchła rewolucya. Pod gromami tej burzy zatrzęsły się fortuny najświetniejsze, runęła posada niejednego szczęścia domowego. Powszechne rozbicie okrętu dotknęło także naszą parę szczęśliwą. Mąż Ludwiki stracił swoją posadę. W zatamowaniu wszelkiego ruchu interesów nie było nadziei znaleźć dość prędko zatrudnienia i chleba. Nieszczęsna zmiana losów poraziła śmiertelnie umysł i zdrowie. Nagła, gwałtowna choroba powaliła młodego małżonka na łoże boleści, a mimo najczulszego pielęgnowania żony, mimo najusilniejszych starań lekarzy, niepodobna było zachować go przy życiu.

Ojciec wywiozł natychmiast nieutuloną wdowę z stolicy, i zamieszkał z nią w cichem ustroniu wiejskiem. Tam otoczyły ją jaknajczulsze starania, ile że stan zdrowia nieszczęśliwej przybrał niespodziewanie charakter zatrważający. Symptomata suchot objawiły się już w całej powierzchowności Ludwiki.

Serce biednego ojca pękało z bolu, widząc jedyną córkę swoją codziennie słabszą i bledszą. Co chwila musiał nieszczęśliwy starzec odwracać się na stronę, aby ukryć łzy swoje.

Oczy biednej Ludwiki lśniły jakimś blaskiem nienaturalnym, jej blade lica barwił złowrogi rumieniec febry trawiącej; mimowolnie zwracała nieboga spojrzenia swoje ku niebu, jakgdyby chciała powiedzieć temu, który tam na nią czekał: „Niedługo obaczymy się znowu!“

Nic też nie zajmowało ją więcej na ziemi. Ani kwiatki tyle niegdyś kochane, ani słońce, ozłacające jasnym promieniem szczyty wzgórzów dalekich, ani powiew wietrzyka, który tak lubo szemrał pomiędzy liśćmi — nic już nie bawiło Ludwiki. Ponura, milcząca, zamyślona przesiadywała całe godziny nieruchomo na jednem miejscu. Ojciec nie potrzebował już odwracać twarzy dla ukrycia łez swoich, ona sama już ich nie spostrzegała.

Pewna niespodziewana drobnostka wyrwała ją na jakiś czas z tego stanu opłakanego. Idąc jednego razu ścieżką przez ogród, spostrzegła na ziemi młodą, ledwie co omszoną ptaszynę.

Nie można było dociec, jakim sposobem biedne to stworzenie dostało się na ścieżkę. Zapewne wypuścił je z szponów jakiś ptak drapieżny, lub przerzucił przez parkan któryś z nielitościwych psotników wiejskich. Przejęta politowaniem, zajęła się nieszczęśliwa Ludwika z jaknajwiększą troskliwością biednem ptaszęciem.

Ogrzywała je u własnych piersi: a ojciec tymczasem tak pilnie i hojnie dostarczał mu pożywienia z muszek i robaczków, że w miesiąc mogła osierocona ptaszyna wyżywić się o własnych siłach. Byłato prześliczna samiczka, pliszka z czerwonym gardziołkiem. Puszczona na wolność, latała z drzewa na drzewo po ogrodzie, a na każde skinienie wracała nazad do rąk swojej wyżywicielki.

Co wieczór tuliła się do piersi Ludwiki, i zostawała w tem ukryciu do rana. Nazajutrz wylatywała do ogrodu za pożywieniem, nigdy jednak nie oddalając się nazbyt daleko. Od chwili do chwili powracała z wycieczki, aby swoim dzióbkiem popieścić bladą twarz smutnej pani, lub igrając zanurzać się w jej bujnych lokach.

Zima i jesień minęły, a ta przyjaźń między wdzięczną ptaszyną i młodą, schorzałą wdową w niczem się nie zmieniła. Owszem Ludwika przylgnęła z takiem przywiązaniem do swojej skrzydlatej wychowanki, że przygasły już urok życia zaczął na nowo ożywiać się w jej piersi. W dwudziestym drugim roku tak trudno oswoić się ze śmiercią.

Uradowany ojciec błogosławił niebu za ten szczęśliwy traf i cieszył się nadzieją, że podobne ocknięcie się uczucia wywrze zbawienny wpływ na zdrowie.

Pewnego wieczora, gdy Ludwika i ojciec siedzieli na ławeczce w ogrodzie, utuliła się ptaszyna jak zwyczajnie na piersiach swej dobrodziejki. Wtem jakby jaki kwiatuszek, wychyliła pliszka swoją główkę czerwoną, a w tejże chwili ozwał się w ogrodzie przedziwny śpiew ptaszęcia, jakiego żaden z domowników nie słyszał dotąd w swojem życiu.

Nie byłto głos słowika lecz dźwięki, i tony jego brzmiały również cudną harmonią, również zdumiewającą siłą i czystością. Ukryty gdzieś w gałęziach, nucił muzyk skrzy-

dłaty wnet jakiś hymn uroczysty, wnet jakąś elegią tak rzewną i miłą, że niepodobna było słuchać ją bez wzruszenia.

Osobliwszy też wpływ wywierał ten spiew czarowny na przysłuchującą się pliszkę. Ludwika czuła pod ręką u swoich piersi, jak żywym i przyspieszonym biegiem biło serce ptaszyny. Z główką na dół pochyloną, z oczyma na poły przymkniętemi, połykała ona chciwie każdy dźwięk muzyki napowietrznej. A gdy Ludwika usunęła się do swojego pokoju, ptaszę zamiast udać się wraz z nią na spoczynek, wymknęło się zza gorsu, i usiadło na oknie, aby jeszcze przysłuchywać się spiewowi czarodziejskiemu.

Nazajutrz była pliszka w jakiemś wcale niezwyczajnem usposobieniu. Skąpawszy się w małym strumyczku ogrodowym, i przymuskawszy dzióbkiem piórka, usiadła w cieniu krzaku, i nie chciała nawet wyciągnąć szyjki, aby pochwycić przelatujące niekiedy muszki, na które zawsze wielce była łakomą.

Ludwika przywoływała ją kilkakrotnie do siebie, lecz tą razą nie słuchała ptaszyna rozkazu swojej pani.

Gdy nadszedł wieczór, ozwał się w ogrodzie znowuż ów spiew przedziwny. Na pierwsze jego dźwięki zadrgała pliszka na całem ciele, a drobne jej nóżki zachwiały się nagle pod nią.

Około godziny dziewiątej zaczął nie widziany spiewak przybliżać się ku domowi, a przelatując z drzewa na drzewo, ukazał się niebawem na jabłoni, naprzeciw krzaku, w którym ukryta była pliszka. Tu nie zważając bynajmniej na stojącą w pobliżu Ludwikę i jej ojca, jął spiewak wywodzić na nowo swe tony czarodziejskie. Nigdy jeszcze głos jego nie zdawał się tak tkliwym i lubym. Niejako zmagnetyzowana nim pliszka, nie mogła się dłużej utrzymać na swojej gałązce. Zaświegotawszy nagle, strzepnęła skrzydełkami, i odleciała w powietrze wraz z nieznanym uwodzicielem.

Wypadek ten pogrążył chorą Ludwikę w wielki smutek i żal, bo przez cały miesiąc po tym wypadku nie było widać ukochanej ptaszyny.

Aż pewnego poranku, gdy Ludwika myślała właśnie o swojej niewdzięcznej wychowanicy, dał się słyszeć naraz lekki brzęk o szybę okna ogrodowego. Byłato pliszka domagająca się dzióbkiem wpuszczenia do pokoju.

Obiedwie przyjaciołki powitały się jaknajczulej. Pliszka oddawała swojej pani całus za całus, pieszczotę za pieszczotę. Po półgodzinnych czułościach widać było po pliszce, że chciała odlecić napowrót. Zabierała się jednak do tego z takim żalem, a przytem tak powoli i z tak widocznem przymilaniem, jakgdyby prosząc, aby pani towarzyszyła jej do ogrodu. Ludwika zrozumiała instynktowo żądanie, i wyszła za ptaszyną, która lecąc z gałązki na gałązkę, zaprowadziła ją aż do małego gaiku za ogrodem.

Tam w małym cienistym krzaku miała pliszka swoje gniazdeczko. Byłoto prześliczne mieszkańko, zbudowane z mchu, włosienia i liści, a wyścielone wewnątrz pierzem i bawełną.

Siedzący na gnieździe samiec przestraszył się na widok Ludwiki. Ośmielony jednak obecnością swojej połowicy, nie ruszył się ze stanowiska, aż dopóki ona sama nie siadła na jego miejscu.

Z rodzajem dumy macierzyńskiej zaczęła teraz pliszka wygrzewać swoje małe jaja żółtawe z drobnemi centkami brunatnemi.

Ludwika przychodziła odtąd codziennie do lasku, a usiadając na murawniku przy gnieździe, przepędzała codziennie po kilka godzin w towarzystwie swojej wychowanicy.

Pewnego razu, gdy ptaszyna poleciała na chwilkę za pożywieniem, a gniazdo pozostało bez straży, spostrzegła Ludwika z niemałem podziwieniem, że jedno jajo było wcale różne od reszty.

Nieco większe od innych, miało ono barwę zielonkowatą, upstrzoną popielatemi plamkami. Chora przypisała tę różnicę prostemu przypadkowi, na co zgadzał się także ojciec.

Pewnego poranku, będąc w zwyczajnych odwidzinach u swojej wychowanicy, ujrzała Ludwika młode pisklęta wylęgłe już ze skorupek. Jedno z nich odróżniało się widocznie swoją wielkością od trzech innych braciszków. Biedna matka nie mogła nigdy nasycić jego gardziołka, zawsze skrzeczącego nieznośnie, zawsze rozwartego i łaknącego.

Do tego objawiało ono jakiś egoistyczny i niezgodny charakter. Aby samemu wygodniej spoczywać w gnieździe, wyrzuciło dwoje innych piskląt na ziemię. Na szczęście spostrzegła to Ludwika, i zabrawszy z sobą biedne pokrzywdzone ptaszęta, ogrzywała je u własnych piersi, i żywiła muszkami i robaczkami.

Pliszka spostrzegła za powrotem ubytek w gnieździe, i zatrwożyła się wielce z początku. Ujrzawszy jednak postradane dzieci w opiece swojej pani, uspokoiła się zupełnie.

Tymczasem owo pisklę największe nie tylko coraz chciwszą okazywało żarłoczność, lecz

z każdym dniem różniło się widoczniej od reszty swego rodzeństwa. Nie miało ono ani tak kształtnej głowy, ani tak zgrabnych proporcyj ciała; ani nawet takiejsamej barwy pierza, a wyglądało podobniej do ptaka drapieżnego, ile że zbywało mu nawet na owej słodyczy w oczach, która charakteryzuje cały ród pliszek. Codziennie wreście zuchwalsze, codziennie więcej miejsca potrzebując, wyrzuciło ono niebawem ostatniego brata na ziemię, i pozostało samo jedno na gnieździe.

Przy tem wszystkiem okazywała mu matka największe przywiązanie, i to tak dalece, że przy niem zapominała o reszcie dziatek. Widząc je na łonie Ludwiki, przylatywała wprawdzie dość często do nich, i pieściła się z niemi czule, wszakże na każdy pisk pozostałego w gnieździe wyrodka, spieszyła żywo do niego, i obfitym pokarmem zapychała jego gardło nienasycone.

W krótkim czasie stał się on już trzy razy większym od matki samej, a zanim bracia jego nauczyli się robić drobnemi skrzydełkami, on wzbijał się już śmiało w powietrze.

Pewnego razu pojawił się w pobliżu gniazda jakiś ptak obcy, a usiadłszy na pobliskiej gałęzi, wrzasnął kilka razy dziwacznym głosem. Na to przyleciał cożywo wyrodek z gniazda pliszki, a obsypawszy go tysiącem pieszczot, odleciał wraz z nim poza ogród, w głąb lasu.

Biedna pliszka spozierała z rozpaczą na tę scenę, a gdy niewdzięczne dziecko odleciało precz z obcym ptakiem, nie obejrzawszy się nawet za matką, pospieszyła za niem do lasku, i przywoływała je różnemi sposobami. Napróżno jednakże próbowała dopędzić niewdzięcznika. Zmęczona i bezsilna wróciła w pobliże gniazda, i upadła na łono chorej Ludwiki, która tymczasem pielęgnowane u siebie ptaszęta złożyła znowu na dawne miejsce. Zaledwie wzmocniwszy się cokolwiek, poleciała nieutulona pliszka po raz drugi w głąb lasu, aby odszukać tak mozolnie wyplekanego zbiega.

Niewdzięcznik ten — byłto podrzutek.

Jego matka prawdziwa, chytra kukułka, przyleciawszy raz pod niebytność pliszki do gniazda, wypiła z niego jedno jajeczko, a włożyła natomiast swoje własne. Doczekawszy się potem pory, w której podrzucone pliszce dziecko mogło już latać, przybyła do ogrodu zabrać je z sobą. Na pierwszy też dźwięk głosu macierzyńskiego opuściło młode kukułczę gniazdo swojej pieczołowitej wyżywicielki.

Biedna pliszka i jej małżonek nie mogły długo utulić się w żalu nad stratą mniemanego dziecięcia. Samczyk chciał nawet własne pozostałe pisklęta wyrzucić z gniazda, biorąc je za obcych natrętów. Lecz przemówił w nim nakoniec głos natury, i dał zwycięztwo instynktowi rodzicielskiemu.

W kilka tygodni potem pukała pliszka napróżno do okna w pokoiku Ludwiki.

Nie słyszeli jej pogrążeni w smutku ojciec i ksiądz. Modlili się obadwaj nad łożem zmarłej, oświeconem bladawo jedną płonącą u głowy świecą.

Odkrycie p. Pietraszewskiego. Rozeszło się temi czasy drogą księgarską następujące ogłoszenie prenumeracyjne w języku francuzkim, napisane przez znanego profesora przy uniwersytecie Berlińskim, p. Pietraszewskiego. „Bóg i wytrwałość w zgłębianiu języków oryentalnych naprowadziły mię na odkrycie, obchodzące wszystkie narody europejskie. *Zendaszta* (a nie *Zenda-Vesta*), t. j. księga dająca życie, nie rozprawia o bałwochwalstwie, jak to twierdzili niektórzy uczeni, lecz o Bogu jednym i wszechmocnym, tudzież o nieśmiertelności duszy. Zepsucie narodu perskiego przed 3000 lat, tyrania jego rządzców, wielożeństwo posunięte do istnej Sodomii, mór nienstanny, pochodzący z pozostawiania trupów bez pogrzebu, wreście lenistwo ludu zniewoliły Zoroastra podać w tej księdze sposoby zaradzenia złemu. Najpierwej wpaja on narodowi swojemu zasady religijności, następnie uczy go rolnictwa, i każe mu udać się do siódmej strefy nad morze bałtyckie, aby tam ziemię uprawiał. Język tej księgi jest słowiańskim, zawiera w sobie tysiące słów, znanych we wszystkich narzeczach tego języka. Jestto pewnik niezbity. Bezinteresowność i miłość prawdy zpowodowały autora ogłaszać to dzieło poszytami, za gotowe pieniądze. Warunki nabycia: Dzieło to wyjdzie w sześciu poszytach w 4ce, o 15 do 30 stron każdy. Cena dla tych, którzy zapłacą z góry, 30 talarów; dla tych, którzy chcą składać należytość za pojawieniem się pojedyńczych poszytów, 60 talarów. Cena sklepowa będzie 80 talarów.“ Jednocześnie zapowiadają pisma czasowe następujące dzieło p. Pietraszewskiego: „Wyjątki z dziejopisów tureckich, styczność z dziejami Polski mające, od początku zjawienia się Muzułmanów w Europie aż do traktatu zawartego z Rosyą w Kainardżi r. 1774, wypisane z chronografów i wiernie przetłumaczone przez J. P.“

Potoczna rozmowa. Chęć podobania się w towarzystwie jest najniewinniejszym odcieniem próżności. Nic nie ma przyjemniejszego nad talent człowieka, który zwrócić umie uwagę na to, co mówi. Aby celować w tej sztuce, nie zależącej ani od nauki, ani od przymiotów serca, potrzeba być tylko szczęśliwie od natury usposobionym. Napróżno bez tego rzadkiego przymiotu chciałby kto podobać się. Zamiast zajęcia znudziłby wszystkich słuchających. Wielkim talentem mówiącego jest zostawić każdemu tę nadzieję, że z kolei i on będzie się mógł przyłożyć do zabawienia kompanii. Żarty, żywe odpowiedzi, ory-

ginalne postrzeżenia, pobudzają do śmiechu, a jednak nie podobaja się tym zwłaszcza, którzy nie są zdolni czegoś podobnego powiedzieć. Kto umie opowiadać, powszechnie się podoba. Słuchamy chętnie człowieka, który zręcznie przytacza anegdoty, powieści, lub który trafnie rzuca kilka ucinków na charakter lub moralność nieprzytomnych osób. Przyczyna tego jest, że wtenczas z nim razem jedną prawie składamy osobę, że chwalimy częściej nie to, co on powiedział, lecz to co nam się zdaje żebyśmy na jego miejscu również powiedzieć mogli. Ciekawość jest także żywiołem próżności, ona sprawuje że każdy rozumie się być zdolnym opowiadać z kolei, i ten który nie może połączyć swoich wyobrażeń, mniema że połączy wypadki powieści i powtórzy ją w mniej lub więcej świetnym towarzystwie. Inny znowu nie zazdrości opowiadającemu, bo mniema że to nie wymaga wcale osobliwego talentu. Nie myślimy przepisywać reguł rozmawiania, lecz chcielibyśmy tylko wykazać wady, przez które wiele osób miasto zabawnemi przykremi się stają. Każdy chce być przyjemnym w towarzystwie, ale częstokroć chęć podobania się sprawia właśnie skutek przeciwny. Ten który tak szczęśliwy talent posiada, powinien go starannie oszczędzać, a zwłaszcza nie mówić nazbyt wiele. Roztropny człowiek oddali niewłaściwe przedmioty i swoją rozmowę do charakteru towarzystwa zastosuje. Każdy ma swoje wady i nałogi, których z trudnością się pozbywa. Częstokroć na przykład spostrzegamy ludzi, którzy bez gestów i pantomin nic powiedzieć nie mogą. Zdałoby się aby przed zwierciadłem przypatrzyli się swojemu sposobowi mówienia, można w tej klasie umieścić naśladowców i buffonów, którzy udają znajome sobie osoby i tak jak niezgrabni malarze muszą powiedzieć imię oryginałów swych. Po nich następują nadęci mowcy, którzy sami słuchają z upodobaniem rozwlekłych i napuszystych frazesów. Inni idą za nimi, są to tajemni szeptacze, ludzie półgębkiem mówiący, którzy niewinnie po kilka słów wymawiają tak, że ich zaledwie usłyszyć można. Drudzy znowu odzywają się głosem Mentora. Wiele osób mają nałóg powtarzać ustawicznie jedne i tesame słowa. Inni o najdrobniejszych rzeczach poważnie mówią. Innych zadziwia wszystko, nawet godzina bijąca, deszcz lub pogoda. Nareście są ludzie tak oszczędni w słowa że zaledwie wymówią tak lub nie. Jak przyjemną tedy, a jak trudną zarazem jest sztuka rozmawiania w towarzystwie.

Zkąd pochodzi przysłowie „żyć na wielką stopę"? Używane we wszystkich prawie językach europejskich, wzięło ono początek swój od pewnego historycznego zdarzenia. *Goffred Plantagenet*, hrabia Andegaweński, cierpiał przez dłuższy czas na podagrę, od której obrzmiewały mu nogi. Zmuszony przez to nosić trzewiki niezwyczajnej wielkości z nazbyt długiemi nosami, wprowadził podobne niezgrabne obuwie w modę na swoim dworze. Jużto dla przypodobania się panu, już przez zwyczajne dziwactwo mody, wpadli dworzanie w przesadę i zaczęli nosić trzewiki kończaste, które przewyższały nieraz miarę dwóch stóp zwyczajnych. I wtedyto weszło w używanie przysłowie „*Etre sur un grand pied*", które wnet do innych języków przeszedłszy, utrzymało się aż do dnia dzisiejszego.

Z Kalifornii. W pewnem świeżo wydanem dziele o Kalifornii opowiada autor następujące zdarzenie, charakteryzujące wybornie stosunki tameczne. „W naszem najbliższem sąsiedztwie miał być powieszonym jakiś człowiek, którego pochwycono na złodziejstwie Wypadek ten nie sprawiał najmniejszego wrażenia, i nie troszczył nikogo. Tylko mój przyjaciel, ciekawy podobnych widowisk, udał się na miejsce egzekucyi, a znalazłszy tam kilku ludzi spokojnie pod drzewem rozmawiających, zbliżył się do jednego z nich, i zapytał uprzejmie, gdzie znajduje się człowiek, którego mają powiesić? Nie zmieniając obojętnej postawy, odpowiedział zapytany z jaknajzimniejszą krwią: „Zdaje mi się że to ja nim jestem, *sir*." I rzeczywiście też wisiał nieborak w półgodzince potem na gałęzi, a całe towarzystwo sędziów i exekutorów rozeszło się na obiad.

Starodawna facecya starodawnym językiem. Puścili się kupcy z Gdańska do Lizbony, między którymi był też tam nasz Polak żartowny. Potem nawalność wielka powstała na morzu, tak że wszyscy sobą brdzo strwożyli. Polak nic się tego nie strachając, weźmie pieczenią wielką nasoloną z beczki; nic jej nie mocząc, wdział ją na rożen, i piecze. Jeło mu mówić towarzystwo: Nie będziesz jej mógł przed sobą zjeść; pierwej ją było namoczyć. Co mówicie teraz z namoczeniem! Aza nie widzicie, że dziś więcej będziemy musieli pić niż kiedy inędy. Na rozbicie okrętu i niebezpieczeństwo tem przymawiał. Acz im nie do śmiechu było, jednak z myśli jego nic nie strwożonej musieli się śmiać. Pięknie napisano: *Na szczęście wszelakie — Miej serce jednakie.*

Skąpstwo Malborougha. „Byli sławni zbrodniarze, ale nie było sławnych skąpców" — powiedział Lambert. Ale to zdanie jego uzna każdy fałszywem, ktokolwiek czytał życie Malborougha. Ten człowiek chciwy sławy, chciwszy był jeszcze bogactw, i dla zaspokojenia tej żądzy, gotów się był chwycić najgorszych środków. Człowiek jeden, starający się o jakąś posadę, przyszedł prosić go o protekcyę: „Jeśli ją otrzymam" — dodał — „mam tysiąc gwineów, które są milordzie na twoje usługi. Zapewniam oraz że przed nikim tego nie wyjawię." — „Daj mi dwa tysięcy" — odpowiedział na to zwycięzca zpod Malplaquet — „a gadaj potem całemu światu." Skąpstwo bohatera hiszpańskiej wojny sukcesyjnej przeszło w przysłowie. Lord Peterborough, jeden z najhojniejszych owoczesnych magnatów angielskich, spotkał żebraka, który prosząc go o jałmużnę, nazwał go milordem Malboroughem. „Ja Malborough" — zawołał. — „W dowód, iż nim nie jestem, oto masz." I podał gwineę żebrakowi.

Trafna odpowiedź. Karol II zarzucał poecie Walkerowi że mu się lepiej udała pochwała Kromwella niż jego. „Być może Najjaśniejszy panie" — odrzekł niezmieszany panegirysta. — „Nam poetom udają się zwyczajnie lepiej zmyślenia niż rzeczy prawdziwe."

Dobrana para. „Trudno znaleźć parę, któraby żyła z sobą w większej zgodzie od nas" — rzekła pewna żona do męża. — „Oboje mamy jedno i tosamo życzenie; ty chcesz być panem a ja panią w domu."

Pewien jegomość przyjął dwóch lokajów, z którymi pewnego razu przez dziurkę od klucza następującą wszczął rozmowę: „Jesteś Piotrze?" — „Jestem panie." — „A co robisz?" — „Nic, panie." — „A ty Janie, jesteś?" — „Jestem, panie." — „A co robisz?" — „Pomagam Piotrowi." — „Jak skończycie, to podacie mi buty."

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*